



Zagadka jesiennej nocy

opowieści z dreszczykiem

Armoryka

Zagadka jesiennej nocy

ZAGADKA JESIENNEJ NOCY

opowieści z dreszczykiem

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Włóczysław (Włóczek) Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-7639-026-0

Andrzej Sarwa

DOGMAT SMUTKU

Urodziłem się z mgły cmentarnej i kropelki potu. Pytają mnie czasem – ten i tamten – czy mi nie przeszkadza pokrewieństwo z Nosferatu? A ja nie bardzo rozumiem ich zdziwienia, kiedy odpowiadam, że nie.

No bo dlaczego mam się martwić czymś, co mi zupełnie nie wadzi?

Stoję po kolana w morskiej wodzie, poróżowiałej od kropel krwi, które przesączają się z nieszczelnej beczki napełnionej nią po wręby, i kołyszącej się spokojnie na leniwej fali. Każdy może z niej zaczerpnąć do pełna. Tylko po co? Właśnie, tylko po co?

Murena łypie na mnie jednym okiem. Jej nienawiść grzęźnie w ławicy piachu rozpołożonej pomiędzy mną, a resztą świata. I ciągle nie rozumiem czego chce ode mnie.

Przyczajony wypatruję chwili, kiedy będę mógł ją schwycić. Ale ona jest sprytna. O! sprytna! Łypnie kaprawym ślepiem, i daje nura pod wodę. Ale ja mam czas. Dużo czasu. Chwile biegnące z dzisiaj do wczoraj zwolniły kroku, przypa-

trując się gromadzie okrościałych elfów, tańczących swoje ostatnie tango.

Zidiociały Nostradamus ciągle straszy i straszy, a tu – do cholery! – nic się nie dzieje. Bo i co się ma niby dzieć? Zawsze nienawidziliśmy. Zawsze nas nienawidzono. Zawsze będziemy nienawidzili. Zawsze nas będą nienawidzić...

I tak to idzie... Od prawieków...

Stoję po kolana w morskiej wodzie, poróżowiałej od krwi...

I cóż z tego? I to nikogo nie obchodzi.

Ale tam, gdzieś, skądś spoza horyzontu w szeleście nietoperzowych skrzydeł, sunie ku mnie Najlepszy Przyjaciół – Zmierzch Ostatniego Dnia.

Kiwam do niego wyciągniętą ręką. Ale boję się, że może mnie nie zauważyć. Dlatego zaczynam krzyczeć i otwartymi dłońmi bić o powierzchnie pokrwawionych fal. Murena rozpaczliwie porusza ustami, a potem czmycha w głąb poczer-niałego setkami zapomnianych istnień atramentowego oceanu.

Już czas na wspólny posiłek – mój i jego. Szelest skrzydeł nasila się nad moją głową, a w uszach wibruje jęk niespełnionej rozkoszy. Murena przyczajona za następną falą, która zamarła na chwilę z otwartą gębą, także wypatrując czegoś, co by mogło ją zdziwić. Ale wszystko na nic. Błoniaste skrzydła nawet nie musnęły mi czubka głowy. Więc znów stoję po kolana w morskiej wodzie – w lepkiej mazi wszystkiego co się wyrzuca z serc i umysłów, żeby udawać niewinność, i mądrość, i uczciwość.

Nikt nie nabierze się na tę pieśń syrenią rozbrzmiewającą od początku czasu aż do dziś, i do pojutrze.

A... może... może... jednak się nabierze?

Przecież wolimy słuchać syreniego głosu niż spoglądać w chmury rozpędzone na ponurym niebie. Zawsze to przyjemniej. Ze nieprawdzwie? To i cóż?

Narodziłem się z mgieł cmentarnych i kropelki potu...

Popatrz! I któż by pomyślał, że można w ten sposób!

Że niby co? Że aż tyle szczerości na teraz? A na jutro?
Na jutro też jej wystarczy. Wezmę tę z wczoraj...
Murena uśmiecha się złośliwie. Szaroróżowy płat płuca jakiegoś marynarza rozerwanego na kawały przez rekina.
Wyłowię to płuco. Może przyda mi się kiedy już – naprawdę – zbraknie mi oddechu..
Garść zawieszonych smarków, garść kłaków, dwa guziki od paradnego munduru...
Garść bluźnierstw...
Garść pychy...

Andrzej Sarwa

STRZYGA

Zdawało się jej, iż przypląwa skądś, z jakowejś niezmiernie dalekiej dali. Z czarnej pustki niepamięci i niebytu. Na razie była samą czystą świadomością i niczym ponadto. Zawieszona w próżni niedookreślonej. zawieszona pomiędzy istnieniem a nieistnieniem wiedziała tylko jedno, iż jest, iż po prostu jest.

I właśnie owa myśl natrętna pulsowała w mózgu:

– Jestem... Jestem... Jestem...

Nie wiedziała czy mijają sekundy czy wieki. Jej oczy nie rejestrowały obrazów. Jej uszy nie wychwytywały dźwięków. Cisza i ciemność. Wszechogarniająca, wszechobecna, nieskończona...

Lecz powoli, bardzo powoli jęła uświadamiać sobie, że poczyna podlegać przemianie. Odzyskiwała poczucie własnego ciała. Mrowienie w stopach, zdrętwiałe mięśnie rąk, nieprzyjemny ucisk w kręgosłupie.

Delikatnie zaczęła poruszać palcami, jakby jeszcze nie dowierzając, iż może nimi władać zgodnie z własną wolą.

A one – co za radość! – by posłuszne. Zginały się i rozprostowywały w rytm sygnałów wysyłanych przez umysł.

Jakiś ciężar przygniatał jej piersi. Nie, nic na nich nie leżało. To tylko gęste, znieruchomiałe powietrze nie chciało nakarmić płuc i chociaż w nie wnikało, nie syciło przecież.

Już była sobą. Prócz czucia wracała i pamięć. Przesuwały się w niej barwne obrazy przeszłych zdarzeń...

Było lato. Tak, było lato... Za oknem w miniaturowym ogródku rosły malwy. Lubiała się wpatrywać w ich różowe, bordowe, żółte czy białe kwiaty, które zdawały się do niej uśmiechać. Lubiała patrzeć jak pszczoły siadają na płatkach, a potem wsuwają się do środka i spiwszy słodki nektar odlatują ociężałe i całe oblepione żółtym pyłkiem.

Czasami też odwiedzała ją sroka. Była to bardzo odważna sroka, bo zdarzało się, iż przycupywała na parapecie i przekrzywiwszy łebek, wpatrywała się w leżącą. A później odlatywała, śmiesznie – jak to sroka – machając skrzydłami.

Lubiała patrzeć na mrówki, które w nieustannej procesji, niestrudzenie, przemierzały jedną i tę samą ścieżkę nadpróchniałego parapetu, kryjąc się w szparze pomiędzy futryną, a oblażym z tynku ościeżem okiennym...

Lubiała patrzeć, leżąc wsparta na spiętrzonych za jej plecami poduszkach, bo cóż innego ponadto mogła czuć?

Malwy przekwitły. Obeschły brunatniejąc wysokie badyle niegdyś zielonych łądyg. Sroka nie zaglądała już do izby, bo okno zamknięto na głucho i nawet mrówki gdzieś się zapodziały.

A później, później spadł pierwszy śnieg. Widziała jak wielkie, podobne do gęsiego puchu, płatki wirują w powietrzu i bezszelestnie osypując się z nieba, przykrywają ziemię. Gdy mróz stęzał, nawet pod wielką, ciepłą pierzynę zdarzało mu się wsuwać swe lodowate palce...

Przypomniała sobie, jak dzwoniły dzwony, wzywając na pasterkę. Leżąc tak tutaj, gdy mijały dni, miesiące, gdy zmieniały się pory roku, nauczyła się rozróżniać ich dźwięki.

Dzwonili u Fary, u świętego Piotra, u Marii Magdaleny...
Dzwonili i w innych kościołach...

Ach, jakże pragnęła móc pokonać własną słabość, wstać, przyodziać się i pójść razem z gromadą ludzi tam dokąd wzywały dzwony. Jakże chciała usłyszeć miłe skrzywienie zmarzłego śniegu pod stopami. Jakże chciała wydychać obłoczki pary, która szadzią osiadała na włosach niesforne wymykających się spod chustki.

Dzwony przestały bić, a ona została sama z mrokiem. Z mrokiem i ciszą. Chyba wtedy płakała, chociaż nie pamięta na pewno. Wie jednak, iż za gardło schwycił ją bolesny skurcz i doznała uczucia bezsilnej wściekłości.

A potem?

Potem czas płynął jednostajnie. Skapywał miarowo, niczym krople wody z okapu dachu, gdzie coraz cieplejsze i coraz wyżej wspinające się po firmamencie słońce, roztopiało brudny i zaskorupały śnieg...

Wybielono izbę. Było czysto i schludnie. Pachniało świeżym wapnem, gotowanymi jajkami, kielbasą, chrzaniem i widłakiem, którym przyozdobiono jedzenie przeznaczone na wielkanocne święta. Cały stół zastawiony był suto. Przyszedł diakon i poświęcił pokarm. Mówił coś do niej, nie pamiętała już słów, ale sens był taki, iż Pan Bóg doświadcza cierpieniem, aby wypróbować naszą wiarę jak ongiś, przed wiekami, wypróbował Hioba.

A potem?... Potem ktoś... nie pamiętała kto... Potem ktoś przyniósł jej bukiet pierwszych złocistych podbiałów. Uśmiechnęła się do kwiatów. Wtuliła w nie twarz, chłonąc z lubością subtelny, ledwo wyczuwalny zapach przedwiośnia... I to było ostatnie co pamiętała...

Teraz otaczał ją mrok i cisza. Czyżby była noc? Może. Ale dlaczego to łóżko jest tak niewygodne? Takie twarde? I czemu płucom brakuje powietrza?

Czucie wróciło już całkowicie, a waz z nim jeły nią wstrząsać dreszcze. Całe ciało przeniknęło dojmujące zimno, wgry-

zając się w każde – zda się włókienko, przesączając się aż do wnętrza kości.

Poczęła drzeć, szczękać zębami. Zimno i duszno.

„– O Boże! – myślała. – Dlaczego tu tak zimno i duszno?”

Chciała szczerzej otulić się pierzyną, wsunąć się pod nią z głową by rozgrzać skostniałe członki, ale próżno szukała jej rękoma. Pierzyny nie było. Za to place natrafiły na coś zupełnie innego. Po obydwu jej bokach znajdowały się deski.

„– Gdzież to mnie przenieśli? – myślała. – Czemu zabrali z mojego łóżka, i ułożyli na tej wąskiej pryczy? Och! Jezusie Nazareński, chyba nie zrobili mi tego, nie oddali do szpitala? Tak pamiętam, doktor owo radził. Chciał mnie zabrać do świętego Hieronima, albo do świętego Ducha. Ale ja się sprzeciwiłam. Przecie kto raz trafi do szpitala, już nie wychodzi stamtąd żywy... A może mi się pogorszyło i oddali jednak wbrew mojej woli?”

Poczuła nagły przypiływ sił. Wiedziała, iż da radę unieść się o własnej mocy. Zresztą, musiała wstać, by sprawdzić gdzie się znajduje. Uniosła się tedy raptownie i... z jękiem bólu opadła na powrót na plecy.

Z całej mocy uderzyła bowiem głową o coś twardego, o coś, co znajdowało się tuż, ponad nią. Przed oczyma zatańczyły kolorowe pozłociste skry. Raz jeszcze jęknęła cicho. Gdy ból nieco stępsiał wciągnęła ostrożnie dłonie ku górze, by dotykami zbadać to, o co rozbiła czoło. To była deska.

Jakiś lęk, zrazu niewielki, ale potężniejszy z każdą chwilą, zdławił ją. Poczuła bolesny ucisk w krtani, a potem zdało się jej iż włosy powoli podnoszą się na głowie.

Na oślep dookoła macała rękoma.

Deski, wszędzie deski, chropowate i pachnące jeszcze żywicą. Deski z przodu, z tyłu, z boków, deski nad głową. Wyczuwała palcami miejsca, w których się łączyły. Wyczuwała nierówności i sęki.

Nie chciała tej myśli dopuścić do siebie, broniła się przed nią z całą mocą, wyrzucała precz z umysłu. Ale ona natrętna, jedyna logiczna, ustawicznie wracała... Wracała...

Zrozumiała, że znajduje się w trumnie.

Zimny pot uperlił jej czoło. Kiedyś, gdy jej mówiono, iż pot może być zimny, nie potrafiła tego pojąć. A teraz taki właśnie wypłynął z każdego poru jej skóry, ściekał wzdłuż policzków lodowatymi strużkami.

„– A zatem tak wygląda śmierć? Boże!”

Zastanawiała się dokąd trafiła. Ciemność i cisza. Nie, to nie było niebo. W niebie jest pięknie i jasno. Zatem piekło? A może czyściec? Nie, nie piekło i nie czyściec. Przecież czuła ciało! Miała ciało! Oddychała – to prawda, że z trudem, ale przecież oddychała. A zatem?... Zatem żyła. Bo oddech to życie.

Bezgłośnie poruszała wargami, prosząc Boga o zmiłowanie. Teraz nareszcie wszystko było jasne i oczywiste. Pogrzebano ją żywcem! Zakała przejęta grozą i bólem. Zaskomliła niczym pies.

„– Och! Tylko nie to! Nie to! Jezus, Maria, Józef, ratujcie mnie!”

Uzmysłowiła sobie, iż musi – choćby na kilka chwil – zdusić w sobie strach, by zastanowić się nad sytuacją i uporządkować myśli.

„– Tak, jestem w trumnie. Lecz gdzie się ona znajduje? Jeśli w ziemnym grobie, to koniec. To długie minuty konania, gdy do ostatka wyczerpie się powietrze we wnętrzu skrzyni... A może... Może jednak nie? Kiedyś prosiła, by ją pochować w podziemiach Fary...”

Z ogromnym trudem, ze względu na ciasnotę, obróciła się na bok, a potem na brzuch. Uniosła na łokciach i kolanach, prac grzbietem zgiętym w pałąk, prac z całej mocy na niego. Potworny strach dodawał jej sił. Bolał kręgosłup, ale nie zważała na to, prac i prac bezustannie. Daremne jednak były jej wysiłki. Deski, świeże, mocne, żywiczne deski zaskrzypiały

tylko, lecz nie miały zamiaru odskoczyć i wypuścić ją z pułapki.

Czas jakiś leżała na brzuchu ciężko dysząc i odzyskując siły.

Pełna determinacji nie miała zamiaru dać za wgraną, zaraz po pierwszej nieudanej próbie.

„– Jeśli ziemia przygniata wieko, to tylko się zmęcę, a nic nie osiągnę...”

Znowu uniosła się na łokciach i kolanach i znowu napała na wierzch trumny. I naraz...

„ – Och! Dzięki ci Panie Boże!”

...naraz dało się słyszeć suchy trzask. To wypchnęła jeden z gwoździ, spajających spód i górę trumny.

Nigdy jeszcze przez całe swoje niezbyt długie życie nie odczuwała takiej radości jak teraz! Już wiedziała, że uda się, że się oswobodzi, że będzie wolna! Wolna i zdrowa! Na pewno zdrowa, bo skoro jest w niej tyle mocy, to niechybny znak, iż choroba nareszcie ją opuściła!

Jeszcze jeden wysiłek... i jeszcze jeden...

Następny gwóźdź zatrzeszczał i puścił, a potem gdy już ostatni raz się natężyła i napała na wieko odskoczyło raptownie i z głuchym łoskotem spadłszy w dół, potoczyło się po posadzce.

Usiadła i wciągnęła w piersi powietrze raz, i drugi, i trzeci. Wciągała je haust za haustem, aż lekko zakręciło się jej w głowie. Była wolna!

Ale zaraz, prawie natychmiast, gdy uczucie radości zbladło i przygasło, na nowo poczuła zimno. Znajdowała się w jakowymś podziemiu, lecz panowała w nim nieprzenikniona ciemność, zatem nie mogła była niczego wypatrzeć, ani znaleźć drogę wiodącą ku wyjściu.

Macała rękoma dookoła i wszędzie napotykała na trumny. Zrozumiała, iż znajduje się w krypcie zapełnionej szczelnie zmarłymi. Rozum podpowiadał, że jej trumna – jako że chy-

ba przecież niezbyt wiele czasu minęło od pogrzebu – musi znajdować blisko wejścia.

Wszakże jak doń trafić? A jeśli nawet trafi, to w którą stronę się obrócić, dokąd dalej się udać, gdzie szukać ratunku? Była jednak pełna ufności. Chyba musiała nad nią czuwać Opatrzność skoro udało się wypchnąć wieko i wyjść na zewnątrz? Pocieszała się, że i dalszy los będzie łaskaw.

Naraz spostrzegła, iż mrok grobowej krypty nie jest tak gęsty i smoliście czarny jak wprzód. Oto poczyniała rozróżniać zarysy otaczających ją przedmiotów. Lepka ciemność ustępowała najwyraźniej szarzyźnie budzącego się poranka.

Rozejrzała się bacznie dookoła, dokładnie lustrując wnętrze grobowca: Oto pod samym sufitem, tak wysoko iż w żaden sposób nie mogłaby go dosięgnąć, widniał napieniający się jasnością wążiuchnym, o rozmiarach otworu strzelniczego w murach obronnych, prostokąt okienka.

Jej trumna stała wpodle drzwi, na lewo od wejścia, a wieko upadło na ceglana posadzkę przejścia wiodącego od wchodu, aż do znajdującej się na przeciw niego ściany, na której wisiał ogromnych rozmiarów krucyfiks.

Podeszła do drzwi i nacisnąwszy wielką, żelazną, mocno pordzewiałą klamkę, chciała, otwarłszy je, wyjść z owego odrażającego miejsca. Ale drzwi się nie rozwarły. Zamknięte na klucz, stanowiły zaporę nie do przebycia.

Znów uczucie przerażenia i grozy przyplęnęło ku niej nową falą. Zatem była w potrzasku.

„– Będę krzycheć – myślała, patrząc na niewielkie okienko pod sufitem. – Będę krzycheć. Ktoś usłyszy. Ktoś musi usłyszeć! Przyjdą, uwolnią mnie! Wpuszczą stąd!”

Wstrząsały nią dreszcze. Zimno jęło paraliżować ruchy, drżała i szczękała zębami. Bezradnie rozglądała się dookoła, szukając czegoś, czym mogłaby się otulić, ale oprócz rzędów milczących trumien i kilku ogarków świec, nie było tutaj niczego.

„– Boże! Jeśli się nie rozgrzeję, nie będę mogła nawet wydać z siebie głosu...”

Przyszła jej pewna myśl do głowy, ale natychmiast odrzuciła ją spłoszona. Wszakże w miarę jak jej ciało kostniało coraz bardziej i zdawało się, że w żyłach nie krąży krew, lecz strużki wody przemieszanej z drobkami lodu, pozwoliła owej myśli zagnieździć się w mózgu na dobre.

Podskakiwała czas jakiś w miejscu i wymachiwała rękoma, aby wykrzesać z siebie choćby odrobinę ciepła. Później potarła dłonie – jedną o drugą aby do palców powróciło czucie, zbliżyła się do rzędu trumien wyglądających na nowe, do tych które nie były zbutwiałe i kruszące się pod dotykiem.

Próbowała dłońmi podnieść wieka. U jednej, u drugiej, piątej... Były mocno przybite solidnymi gwoźdźmi. Aż wreszcie, przy którejś kolejnej, wieko uniosło się, odsłaniając makabryczną zawartość.

Wewnątrz leżał na wpół zgniły mężczyzna, ubrany – nie wiedzieć dlaczego – w ciepły atłasowy żupan, podbity sobolowym futrem. Och, tego potrzebowała! Chociaż smród buchnął jej prosto w twarz, przyprawiając o mdłości, wiedziała iż tylko ów żupan może uratować jej życie, chroniąc przed dojmującym chłodem.

Z obrzydzeniem porozpinała wielkie, masywne guzy wyrobione z poczerńiałego srebra, a ozdobione wymyślnym ornamentem. Z obrzydzeniem uniosła jedną z rąk nieboszczyka ku górze i ściągnęła z niej rękaw. Później uczyniła to z drugą. Pod palcami czuła jak miękkie ciało trupa się rozłazi. Chociaż nie dotykała bezpośrednio zgnilizny, bo oddzielała ją od niej gruba warstwa innych jeszcze ubrań, które nieboszczyk miał na sobie, nie mogła znieść obrzydzenia i poczuła jak żołądek podpełza jej do gardła.

Najtrudniej było wyszarpnąć żupan spod pleców. Ale i to się jakoś udało. Czym prędzej zakryła trumnę wiekiem i ze zdobyczą odbiegła w pobliże drzwi. Żupan śmierdział, śmier-

dział tak bardzo, iż miała zamiar odrzucić go precz, lecz w tym momencie ziąb zaatakował ją ze zdwojoną mocą. Otuliła się tedy sobolami i po jakimś czasie odczuła wreszcie ulgę. Było jej ciepło. Wszakże na tym nie skończyła się jej męka. Teraz na odmianę żołądek jął dopominać się o swoje prawa. Choć wstrętne, ale przecie zdobyła ubranie, ale o jedzeniu nawet nie mogła marzyć.

Usiadła na wieku trumny, spoczywającym na ceglanej posadzce i zaniosła się łkaniem. Płacz przyniósł jej nieco ulgi, chociaż bynajmniej nie stępił uczucia głodu.

Szarpał on wewnątrzności, gniótł je bolesnym skurczem, zaciskał się na żołądku. Och! Choćby kęs, choćby najlichszy kęs! Odłupała kawałek tynku ze ściany próbując go żuć, ale gdy piasek zachrząścił w zębach, wypluła go ze wtrętem. I wtedy jej wzrok padł na ogarki świec woskowych leżących tuż przy drzwiach.

Przenosiła jeden po drugim, rozgryzała i przełykała. I chociaż owego pokarmu była garstka tylko, czczość ustąpiła.

Wtedy zaczęła krzyczeć. Krzyczeć tak głośno, jak tylko umiała i mogła.

– Ludzie ratujcie! Pomooocy!!! Ratujcieeee!!!

Słowa odbijały się głucho od ścian grobowej krypty, wracając od niej stłumione.

Krzyczała tak dopokąd sił starczyło, a później siadła i łapiąc oddech szeroko rozwartymi ustami odpoczywała, by – gdy rozszalałe od wysiłku serce znów zaczynało bić miarowym rytmem – krzyczeć od nowa.

– Ludzieeee!!! W imię Boże!!! Ratunkuuu! Wypuście mnie stąd! Wypuście!

Szarzyzna jęła w podziemi ustepować przed gęstniejącym mrokiem. Dzień przemijał, a nikt nie przybywał z pomocą. Ochrypla od krzyku, zmęczona, głodna i spragniona, wsparła się pół przytomna o drzwi oddzielające świat umarłych od świata żywych i zapadła w półsen.

Nawiedziły ją majaki straszne jakieś, co i raz przerywane wzdrygnięciem, które ją budziło. Koszmar dnia przemienił się w koszmar nocy. Radość wcześniejszej nadziei wyparła rozpacz i groza.

Ale nie poddawała się zwątpieniu. Resztką wiary chowała się w jej sercu. Resztką wiary, iż przecież musi nadejść ranek i wyzwolenie. Nad ranem, gdy skądś spoza Wisły jęło się nieść pianie dalekich kogutów, a ona nareszcie zapadła w głęboki sen, który przyniósł odpoczynek i ukojenie.

Szarawy pobrzask rozświetlił wnętrze grobowca, gdy obudziła się i otworzyła oczy. Poczowała ból we wszystkich kościach po niewygodnie, w kucki, spędzonej nocy. Podniosła się zatem i rozprostowała, aż chrupnęło w stawach.

Nie było jej zimno, sobolowe futro spełniało doskonale swoje zadanie. Nie odczuwała też głodu. Lecz jej umysł na odmianę zaprzętało jedno jedyne pragnienie:

„– Pić! Pić! Pić!...”

Każde włókienko, każde ścięgno, każda kosteczka, całe jej ciało błagało o wodę, domagało się wody, żądało wody, pragnęło wody, tęskniło za wodą! Wszystko inne teraz – nawet i wyjście z podziemia – wszystko inne stało się mniej ważne. Byleby tylko zwilżyć spierzchnięte i spękane wargi. Opuchły język z trudem mieścił się w ustach.

Dojrzała na brudnobiałym murze z kamiennego ciosu, sporo poniżej okienka, osiadłą rosę. Przysunęła trumnę w tamto miejsce postawiła ją na sztorc i wspiąwszy się na ową chybotliwą podporę, przywarła ustami do kamienia.

Zlizywała kroplę za, kroplą, starając się nic nie stracić, nie zmarnować, nie pominąć żadnej. Ale gdy już zlizwała wszystkie, miast przytępić pragnienie, tylko bardziej jeszcze je rozbudziła.

Ześlizgnąwszy się z trumny podeszła do ciężkich, dębowych drzwi upadłszy przed nimi na kolana, biła w grube deski pięściami na poły szepcząc, na poły charcząc:

– Na rany Chrystusa! Ratunku!...